

Padało w Denver w noc, w którą zginął Eric Heller. Chmury kłębiły się późnym popołudniem, białe filary wznoszące się z mroku ku słońcu w bazie były czystym zagrożeniem. Siedem minut po godzinie piątej - akurat w godzinach szczytu - niebo otwarło się, deszcz bębnił w dół ulic i okna. Trwało to nadal trzy i pół godziny później. Spływająca woda i błyskające pioruny ukryły zachód słońca, ale Eric mógł go poczuć. To był jeden z efektów ubocznych, zawsze mógł poczuć, że nadchodzi ciemność.

- Coś się dzieje - powiedział głos z jego telefonu - Coś wielkiego.

- Wiem, Aubrey. Jestem na nie.

- Mam na myśli coś naprawdę dużego.

- Jestem na nie.

Eric siedzący naprzeciw w słabym świetle pomarańczowych barowych lamp, roześmiał się, a kelnerka odpowiedziała małym, wymuszonym uśmiechem, który nie sięgał oczu .

Eric uderzał w swoją szklanę, puk-puk-puk jego paznokci brzmiało jak deszcz bębniący o okna .

- Okey - powiedział Aubrey - Ale jeśli jest coś co mogę zrobić, musisz mi powiedzieć. Dobrze ?

- Bez wątpienia - powiedział Eric - Dbaj o siebie, dobrze ?

I może lataj nisko przez chwilę. To może nie być łatwe.

Aubrey był porządnym facetem, co oznaczało, że robił wiele przyzwoitych męskich rzeczy. Obecna praca Erica nie wymagała dzwonięcia po tego rodzaju umiejętności. Potrzebował twardego tyłka. Tak więc siedział w jednym z najgorszych barów w Five Points, czekając na kogoś, kogo nigdy nie spotkał nawet w najgorszym zaułku miasta. A gdy Coin oraz Invisible College zrobiłyby coś niebezpiecznego to prawie rzeczywiście Pleromie.

Coś wielkiego.

-Chcesz jeszcze jednego, Pops?- zapytała kelnerka

- Tak - odpowiedział Eric - Chcę.

Skończył drugiego i zabrał się za trzeciego, gdy drzwi otworzyły się. Ruch zimnego, deszczowego powietrza przeleciał przez bar jak oddech. Następnie weszło pięciu mężczyzn. Czterech z nich mogło być jedynie nasączonymi przemocą hulakami. Piąty, wielki koleś w okularach, był jeźdźcem. Patrząc, Eric nie mógł powiedzieć czy był to lupine, nosferatu czy którykolwiek z tysięcy innych gatunków nieczystych duchów zamieszkujących ludzkie ciało, ale czuł jak promieniuje od niego moc. Ręka Eric'a drgnęła w kierunku pistoletu w kieszeni, chcąc poczuć jego uspokajający dotyk. Ale to byłoby okazaniem słabości. Wielki koleś zbliżył się i stanął nad Ericiem, wystarczająco blisko by można to było uznać za prowokację. Pozostała czwórka rozdzieliła się, dwóch stanęło przy drzwiach, a dwóch usiadło blisko Erica utrudniając mu swobodne oddychanie. Oprócz radia w którym rozbrzmiewała obecnie hip-hopowa piosenka, w barze zrobiło się cicho. - Jesteś Kieł - powiedział Eric - Ładną masz sprzączkę od paska. Błyszcząca.

- Kim ty kurwa jesteś, stary? - zapytał duży koleś. Jego oddech pachniał jak kreozot.

A więc lupine. Wilkołak.

- Nazywam się Eric Haller. Szukam kogoś kto wykona dla mnie robotę.

- Wyglądam na bezrobotnego? - zapytał duży koleś. Dwójka która nie pilnowała drzwi uśmiechnęła się rozbawiona.

- Myślisz, że jakiś anglo-skurwysyn może przyjść tutaj, gwizdnąć i zrobimy skok?

Eric sięgnął i ściągnął okulary dużego kolesia. Czarne oczy spotkały jego spojrzenie. Przeciągnął po nim zimnym wzrokiem, od krocza, przez brzuch, aż do gardła. Duży koleś przechylił głowę jak pies słuchający nieznanego dźwięku. Inni przesunęli ręce pod kurtki i koszule.

- Szukam kogoś do wykonania zadania, przyjacielu - powiedział Eric , wkładając okulary do ręki czarnookiego człowieka - Jak to nie będziesz ty, to nie. Bez obrazy. Wielki koleś potrząsnął głową, co naprawdę nie było odmową. Eric czekał.

- Kim jesteś? - zapytał lupine. Człowieczeństwo zniknęło z jego głosu. Teraz Eric rozmawiał bezpośrednio z jeźdźcem.

- Eric. Alexander. Heller. Mówiłem już - powiedział - Mogę ci zaoferować Znak Brute-Loka. Może być przydatny dla kogoś o twojej pozycji.

Czarne oczy rozszerzyły się.

- Co chcesz za to ? Chcesz kogoś zabić ?

- Chcę kogoś zabić - zgodził się cicho. Wszyscy byli cicho. Cicho jak w grobie. - Chcesz o tym rozmawiać tutaj , z tymi wszystkimi miłymi ludźmi wokół? Czy możemy iść w jakieś prywatne miejsce ?

- Chango - powiedział duży koleś. Jeden z mężczyzn stojących przy drzwiach podszedł, unosząc podbródek - Przyrowadź samochód.

Eric spojrział w dół na swojego ostatniego drinka, a duży koleś odsunął się na tyle by mógł wstać. Eric rzucił dwie dwudziestki na stół. Bardzo hojny napiwek. Zawsze płacił dobrze za pomoc. Na zewnątrz, deszcz osłabł na tyle że można było jechać. Czarny samochód z Czango za kierownicą zatrzymał się przy krawężniku. Loupine i jego trzech ziomali skupiło się wokół Erica, nie zważając na ulewę. Dwóch z nich stanęło tak, że Eric tkwił między nimi. Loupine odbył krótką rozmowę z trzecim z nich, po czym wsiadł z przodu. Ostatni facet splunął na ulicę i wrócił do baru jak tylko samochód ruszył. Jechali na wschód w kierunku Hill Park. Eric nic nie mówił. Po raz pierwszy tego wieczoru poczuł, że wszystko idzie zgodnie z planem. Cała sprawa musiała pójść jak w zegarku, każdy element musiał być na swoim miejscu, tam gdzie powinien.

On, lupine i stary zegar.

Kierowca kichnął. Bandyta z lewej szepnął "Gesundheit" i kręgosłup Erica zeszytniał ze strachu.

Od kiedy bandyci z Five Points mówili gesundheit?

Kim do cholery był facet siedzący obok?

Tak swobodnie jak mógł podniósł rękę do ust. Rozgniół świeżą szafwię i liście mięty pieprzowej w rękawie i wciągnął ich zapach. Jego umysł jakby kliknął wychodząc z transu, zapach ziół podziałał jak przełącznik. Jego oczy oczyściły się zupełnie. Wszystko wokół niego stało się intensywnie prawdziwe, krawędzie wyostrzyły się, a tekstury tętniły życiem. Słyszał każdą pojedynczą kroplę deszczu uderzającą o samochód. Czuł każde włókno jego koszuli napierające na skórę. A czar opadł z pozostałych. Tusz oznaczeń wydawał się wypływać z ich wnętrza jak krew z cięcia. Kierowca był całkowicie łysy, kręte tatuaże wystawały z zza kołnierzyka i zawijały się na uszy. Dwójka obok Erica też była oznaczona, ich twarze pokryte symbole i znaki.

To wszystko było ukartowane od początku. Kontakt, spotkanie w barze, oddech kreozotu. Nie było bandytów ani loupine. Jeden z nich spojrzał na Erica.

- On wie - powiedział.

Wielki koleś z przodu nadal był wielkim kolesiem. Odwrócił się patrząc przez ramię. Jego usta były czarne, oczy kryły się w gąszczu pół skryptu arabskiego, pół pajęczyny.

- Pan Heller - powiedział, jak gdyby spotkali się po raz pierwszy. Jego głos był niski, jak opony trące o asfalt. Ze swoimi zmysłami wyostrzonymi przez zaklęcie, Eric czuł jego oddech na skórze.

- To nie tak, chłopcy, jak sądzicie - powiedział Eric.

- Wiemy już co robi pan Heller - powiedział tamten - Dziś przestaje. Zatrzymuje się teraz.

Z krzykiem rozpaczony Eric sięgnął po broń.